

david baldacci

AUTOR **BESTSELLERÓW** *KOLOR PRAWDY i WYGRANA*



MIASTECZKO DIVINE



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

David Baldacci

MIASTECZKO DIVINE

Przełożył Łukasz Głowacki



Warszawa 2012

Tytuł oryginału: Divine Justice

Copyright © 1999 by Columbus Rose Ltd.

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw, 2012

Copyright © for the Polish translation by Łukasz Głowacki

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński Skład: TYPO 2

ISBN: 978-83-7670-513-2



www.fabrykasensacji.pl

Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o.

ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa

Tel./fax 22 6310742

www.buchmann.pl

Konwersja:



Zatoka Chesapeake to największe estuarium w Stanach Zjednoczonych. Jego długość wynosi prawie 300 kilometrów. Zlewisko rozciąga się na idyllicznym obszarze około 166 tysięcy kilometrów kwadratowych, a do zatoki wdziera się ponad 150 rzek i strumieni. Zatokę zamieszkują niezliczone ilości ptaków i zwierząt morskich. Jest to również ukochana przystań rzeszy ludzi żeglujących rekreacyjnie po jej wodach. W rzeczy samej, zatoka jest wyjątkowo piękna. No, chyba że zdarzy się komuś pływać po jej cholernych wodach w trakcie burzy, o poranku spowitym jeszcze ciemnością.

Oliver Stone przebił taflę wody, a następnie wciągnął w płuca gęste, słonawe powietrze. Chociaż otaczał go ocean, odczuwał pragnienie. Skok z wysokości sprawił, że zszedł głęboko pod wodę, co nie było szczególnie bezpieczne. Niemniej jednak, kiedy ktoś rzuca się w dół z ponad dziewięciometrowego klifu w sam środek wzburzonego oceanu, to powinien dziękować za to, że w ogóle jeszcze żyje. Przebierając w wodzie rękami i nogami, rozejrzał się dookoła, aby ocenić swoje położenie. Nic, co wtedy ukazało się jego oczom, nie wyglądało zbyt uroczo. Błysk pioruna, który co chwila rozświetlał ziemię, pozwolił mu dostrzec trzypiętrowy klif, na którym jeszcze niedawno stał. Mimo iż znajdował się w wodzie dopiero od niecałej minuty, to chłód zaczął już przenikać jego kości, chociaż pod ubraniem miał kombinezon do nurkowania. Zdarł z siebie przesiąknięte wodą spodnie, slipy oraz buty i zaczął płynąć, kierując się na wschód. Nie miał zbyt wiele czasu.

Dwadzieścia minut później zbliżał się do brzegu, jego ręce i nogi stały się już bardzo ociężałe. Kiedyś mógł pływać całymi dniami, ale przecież nie miał już dwudziestu lat. U licha - nie miał już nawet pięćdziesięciu. Jedyne, czego teraz chciał, to postawić stopy na ziemi; udawanie ryby zmęczyło go.

Skierował się w stronę znajdującej się w skale szczeliny. Przebrnął przez wysokie fale i, robiąc wielkie susy, stanął w końcu na suchym lądzie. Podbiegł do ogromnego głazu i wyciągnął szmacianą torbę, którą wcześniej tam schował. Szybko zdjął z siebie mokry kombinezon, wytarł się ręcznikiem, po czym założył suche ubranie oraz adidas. Przemoczone rzeczy wepchnął do torby i cisnął w rozszalałe burzą wody zatoki Chesapeake. Tym samym dołączyły one do jego kilkudziesięcioletniego karabinu snajperskiego i lunety dalekiego zasięgu. Oficjalnie nie był już płatnym zabójcą, wycofał się z tego biznesu. Miał nadzieję, że sobie pożyje i nacieszy się życiem. Jednak szanse na to były niewielkie, zaledwie pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

Stone ostrożnie szedł wzdłuż skalistej ścieżki, aż w końcu znalazł się na błotnistym szlaku. Dziesięć minut później był już na skraju lasu, gdzie sosny o płytko zapuszczonych korzeniach odchyłały się w tył na skutek morderczych podmuchów wiatru od strony morza. Po dwudziestominutowym truchcie dotarł do kilku walących się budynków, które wyglądały tak, jakby zaraz miały się przewrócić.

Kiedy przez okno wślizgiwał się do środka najmniejszej chaty, światło przebijające się przez chmury zaczęło przepędzać mrok. W rzeczywistości była to zwykła szopa, chociaż na szczęście miała drzwi i podłogę. Spojrzał na zegarek. Miał co najwyżej dziesięć minut. Pomimo zmęczenia, jeszcze raz zdarł z siebie ubranie, a następnie wszedł pod mały prysznic z zardzewiałym natryskiem, z którego – niczym z zepsutej fontanny – ciekła jedynie cienka strużka letniej wody. Niemniej jednak, porządnie szorował ciało, zmywając smród i słoną wodę, które przyłgnęły do niego w rozszalałej zatoce; prawdę mówiąc, w ten sposób usuwał dowody. Wszystko to robił całkowicie odruchowo, ponieważ jego umysł był zbyt skołatany, aby mógł trzeźwo myśleć. Jednak to miało się zmienić. Psychologiczne gierki wkrótce miały się rozpocząć. Już teraz oczami wyobraźni widział przychodzących po niego gliniarzy.

Stone wyczekiwał, aż ktoś zapuka do jego drzwi. I kiedy się ubierał, usłyszał pukanie.

- Hej, koleś, gotowy? – głos mężczyzny przedarł się gwałtownie przez drzwi zrobione z cienkiej sklejki.

W odpowiedzi na pytanie, Stone jedną ręką mocno uderzył o zniszczoną drewnianą podłogę. Następnie wsunął na nogi buty, zarzucił na plecy wytarty płaszcz, na głowę wcisnął czapkę z daszkiem z napisem John Deere, a na nos włożył okulary o grubych szklach. Ręką przejechał po swojej szczeciniastej, siwej brodzie, którą zapuszczał od przeszło sześciu miesięcy i w końcu otworzył drzwi, po czym skinął głową w stronę stojącego przed nim niskiego, przysadzistego faceta. Mężczyzna posturą przypominał beczkę piwa, miał leniwe oko i poźółkłe zęby od palenia zbyt wielu winstonów i picia double espresso Maxwell House. Bez wątplenia nie było to cafe latte. Na czubku głowy miał dzianą czapkę z logo drużyny futbolowej Green Bay Packers. Nosił wypłowiałą farmerski kombinezon, brudne buty robocze i wytarty, poplamiony smarem płaszcz, na jego twarzy natomiast malował się delikatny uśmiech.

- Zimny poranek – powiedział mężczyzna, pocierając swój gruby nos i wyciągając z ust zapalonego papierosa.

Jakbym nie wiedział, pomyślał Stone.

- Ale ma się ocieplić. – Mówiąc to, mężczyzna popijał kawę z oficjalnie nabytego kufła z logo Nascar. Kiedy odstawiał go od ust, po brodzie ściekały mu jeszcze krople napoju.

Stone przytaknął, spuścił swą brodatą twarz, a jego oczy, wyglądające zza zamazanych szkieł okularów, zwykle uważne, stały się jakby nieobecne. Kiedy szedł za mężczyzną, lewa noga wyginała się na zewnątrz na kształt skrzydełka kurczaka, co sprawiało, że utykał, garbił się i wyglądał na kilka centymetrów niższego, niż był w rzeczywistości.

Kiedy ładowali drewno opałowe do starego, poobijanego Forda F-150 z łysymi oponami, nagle na podjazd zajechał wóz policyjny i czarne sedany, rozrzucające żwir we wszystkich kierunkach, niczym kule wystrzelone z wiatrówek. Szczupli, ale dobrze zbudowani mężczyźni, którzy wysiedli z wozów, mieli na sobie niebieskie, nieprzemakalne płaszcze ze złotym napisem FBI na plecach oraz pistolety i magazynki z czternastoma nabojami w kaburze przyczepionej do pasa. Trzech z nich podeszło do Stone'a i jego kumpla, podczas gdy pulchny, umundurowany szeryf

w wypolerowanych, czarnych butach i w kapeluszu stetson starał się za nimi nadażyć.

- Co się dzieje, Virgil? - zapytał umundurowanego Green Bay. - Jakiś sukinsyn ponownie wymknął się z paki? Mówię wam, chłopcy, powinniście znowu zacząć strzelać, tak aby zabijać i pieprzyć tych zasranych liberałów.

Virgil potrząsnął głową, a na jego czole pojawiły się zmarszczki świadczące o zmartwieniu.

- Żadne więzienie - odpowiedział szeryf. - Zginął facet, Leroy.

- Jaki facet?

W tym momencie jeden z agentów FBI podniesionym głosem zwrócił się do Leroya:

- Dowód proszę!

- Gdzie ty i twój przyjaciel byliście godzinę temu? - zapytał drugi.

Leroy spoglądał raz na jednego agenta, raz na drugiego, a potem wlepił wzrok w szeryfa.

- Virgil, co się u diabła dzieje? - zapytał.

- Jak już powiedziałem, zginął facet. Ważny gość. Nazywał się...

Jednak ten w płaszczu machnięciem ręki przerwał mu, powtarzając:

- Dowód, w tej chwili! - powtórzył z naciskiem.

Leroy szybko wyciągnął chudy portfel z kieszeni swego kombinezonu i podał agentowi prawo jazdy. Podczas gdy jeden agent wklepywał numery do podręcznego komputera, który wyjął ze swojej wiatrówki, inny trzymał rękę wyciągniętą w stronę Stone'a.

Stone jednak ani drgnął. Po prostu gapił się na agenta z obojętnym wyrazem twarzy; miał mocno zaciśnięte, jakby sklezione usta, a chorą nogę nadmiernie zginał w kolanie. Sprawiał wrażenie zmieszanego, ale właśnie tak to miało wyglądać.

Agenci FBI zbliżyli się do Stone'a.

- Ten tu pracuje u ciebie? - zapytał Leroya.

- Tak, proszę pana. Od czterech miesięcy. To dobry, silny pracownik. Nie potrzebuje wielkiej kasy, właściwie tylko pokój i wyżywienie, to wszystko, czego chce. Ma jednak niesprawną nogę i nie jest zbyt bystry. Jest jednym z tych, którzy raczej nie mają szans na zatrudnienie.

Najpierw agenci zwrócili uwagę na skrzywioną nogę Stone'a, a potem spojrzeli na jego twarz kryjącą się za okularami i gęstą brodą.

- Jak się nazywasz? - zapytał jeden z nich.

Stone burknął, po czym jedną ręką wykonał kilka szarpanych ruchów, jak gdyby popisywał się przed federalnymi jakąś nietypową sztuką walki.

- Nie wydaje mi się, że to język migowy, czy coś w tym stylu - z własnej woli i ze znużeniem odparł Leroy. - Nie znam języka migowego, a więc nie wiem też, jak gość się nazywa. Po prostu wołam do niego „hej koleś” i pokazuję mu, co ma robić - to działa. Nie zajmujemy się tu kardiochirurgią, najczęściej przerzucamy jakieś gówno na ciężarówkę.

- Powiedz mu, aby podwinął nogawkę u tej chorej nogi - zwrócił się do Leroya agent w płaszczu.

- Po co?

- Po prostu mu powiedz!

Leroy, podwijając swoją nogawkę, zasygnalizował Stone'owi, aby ten zrobił to samo.

Stone, udając, że jest mu bardzo ciężko, zgiął się w pół i zrobił dokładnie to, co pokazał Leroy.

Wszyscy mężczyźni spojrzeli na paskudną bliznę, ciągnącą się wzdłuż rzepki.

- Niech mnie diabli! - powiedział Leroy. - Nie ma się co dziwić, że ma problemy z chodzeniem.

Ten sam agent, w płaszczu z napisem FBI, ruchem ręki wskazał Stone'owi, aby z powrotem obciągnął nogawkę.

- Ok, w porządku - dodał.

Nigdy nawet nie przyszło Stone'owi do głowy, że kiedyś będzie wdzięczny północno-wietnamskiemu żołnierzowi za starą ranę zadaną bagnetem. Prawdę mówiąc, blizna wyglądała znacznie gorzej, niż dolegliwości nią spowodowane, ponieważ chirurg musiał operować Stone'a w dżungli, na ziemi i to jeszcze pod ostrzałem artylerii. Nic dziwnego, że w takich warunkach doktorowi trzęsły się ręce.

- Leroy i ja razem tu dorastaliśmy. W szkolnej drużynie futbolowej, która czterdzieści lat temu zdobyła mistrzostwo hrabstwa, on był środkowym, a ja rozgrywającym. Na pewno nie chodzi i nie zabija dookoła ludzi. A ten tam gość - wskazał na Stone'a - nie sposób nie zauważyć, na strzelca wyborowego się nie nadaje - powiedział szeryf.

Agent FBI odrzucił Leroyowi jego prawo jazdy, po czym spojrział na swoich kolegów.

- Czysty - wymamrotał z rozczarowaniem w głosie.

- Gdzie się wybierasz? - zapytał agent ubrany w płaszcz, kiedy popatrzył na załadowany w połowie bagażnik samochodu.

- Tam gdzie zawsze o tej porze dnia i roku. Zanim się ochłodzi, rozwozimy drewno po ludziach i sprzedajemy tym, którzy nie mają czasu, aby rąbać swoje. Potem jedziemy na przystań jachtową i pracujemy na łodzi. Czasami, jeżeli morze jest spokojne, wypływamy na wodę.

- Masz łódź? - szorstkim tonem zapytał jeden z agentów.

Leroy z komicznym wyrazem twarzy spojrział na Virgila.

- Jasne, sprawiłem sobie zajebisty jacht. - Wskazał ręką za siebie. - Lubimy wybierać się na przejażdżki po zatoce Chesapeake tym tam i czasami nawet złapiemy kilka krabów. Słyszałem, że w tych stronach ludzie lubią ten syf.

- Przestań pieprzyć Leroy, bo wpakujesz się w kłopoty - nerwowo powiedział Virgil.

- To ważne.

- Wierzę, że tak jest - odburknął Leroy. - Ale jeżeli facet nie żyje, to lepiej nie traćcie swojego czasu na gadaninę z nami, ponieważ my nie wiemy absolutnie nic a nic na ten temat.

- Przed waszym przybyciem nie pojawił się tutaj ani jeden samochód. A obaj byliśmy już na nogach jeszcze przed świtem.

Stone pokuśtykał do trucka i na jego tył zaczął wrzucać kawałki drewna.

Agenci spojrzeli na siebie.

- Zwijajmy się - odezwał się jeden z nich.

Kilka sekund później już ich nie było.

Leroy zbliżył się do samochodu i wraz ze Stone'em zaczął wrzucać drewno.

- Ciekaw jestem, kogo zabili? - powiedział sam do siebie. - Mówili, że to jakiś ważny gość. Tylu ważnych na tym świecie. Jednak umierają oni tak samo jak cała reszta. To właśnie jest boska sprawiedliwość.

Gdy całodzienna praca dobiegła końca, Stone, wykonując gest rękoma, dał znać Leroyowi, że na niego już czas. Leroy nie miał nic przeciwko.

- I tak jestem zdziwiony, że byłeś tu tak długo. Powodzenia!

Następnie z pliku banknotów wysunął po kolei kilka wyblakłych dwudziestek i wręczył mu. Stone przyjął pieniądze, poklepał mężczyznę po plecach i, utykając, oddalił się.

Stone, po spakowaniu swoich rzeczy w marynarski worek udał się pieszo na miejsce, skąd złapał stopa do D.C.; siedział na tyle trucka, ponieważ kierowca nie miał ochoty wpuścić niechlujnie wyglądającego faceta do swojej ciepłutkiej kabiny. Stone'owi jednak pasował taki układ - dało mu to czas na myślenie, a miał o czym myśleć. Dziś, zaledwie w kilkugodzinnych odstępach, zabił dwóch najbardziej prominentnych obywateli kraju. Użył do tego celu karabinu, który cisnął w wody oceanu, zanim skoczył z klifu.

Kierowca podrzucił go w pobliże stołecznej dzielnicy Foggy Bottom, skąd Stone udał się do swojego starego domu położonego przy Mt Zion Cemetery.

Musiał dostarczyć pewien list.

I również coś odebrać.

Potem trzeba będzie ruszyć w drogę.

Jego alter ego - John Carr - zostało w końcu pogrzebane.

Wszystko wskazywało na to, że Oliver Stone powrócił.

W chatce panowała ciemność, ale na cmentarzu było jeszcze ciemniej. Jedyne, co można było dostrzec, to wydychane przez Stone'a powietrze, które, mieszając się z chłodem na zewnątrz, tworzyło mgiełkę. Jego wzrok przeszywał każdy zakamarek cmentarza, nie mógł w tej chwili pozwolić sobie na jakikolwiek błąd. Decyzja o przybyciu tutaj była głupia, ale zrobił to z poczucia obowiązku, a nie dlatego, że sam tak chciał. Taki już był. Przynajmniej tego nikt nie mógł mu odebrać.

Czaił się w pobliżu przez jakieś pół godziny, chciał sprawdzić, czy było coś podejrzanego. Odkąd opuścił to miejsce, ktoś przez kilka miesięcy je obserwował. Wiedział o tym, bo sam obserwował obserwujących. Ponieważ jednak nie pojawiał się przez cztery miesiące, strażnicy opuścili swoje warty i odeszli. Oczywiście, nie znaczyło to, że nie powrócą. Prawdę mówiąc, po wydarzeniach, które miały miejsce o poranku – raczej na pewno powrócą. Wszyscy gliniarze uważają, że warto przeprowadzać śledztwo w każdym przypadku, kiedy czyjeś życie kończy się tragicznie. Rzeczywistość jest jednak taka, że im ważniejsza ofiara, tym bardziej skrupulatne dochodzenie. Kierując się tą maksymą, można się spodziewać, że w tym przypadku zatrudnią do tego całą armię.

Kiedy upewnił się, że jest bezpiecznie, prześliznął się pod płotem, znajdującym się na końcu cmentarza i poczołgał w stronę wielkiego kamienia nagrobnego. Gwałtownym szarpnięciem uniósł go nieco do góry. Pod spodem znajdował się mały dołek powstały z wybranej ziemi. Wyciągnął z niego pudełko, które zostało tam ukryte i włożył je do swojego marynarskiego worka. Następnie z powrotem opuścił kamień na swoje miejsce. Czule poklepał ręką tabliczkę znajdującą się obok grobu. Wraz z upływem lat już dawno starło się z niej imię zmarłego, który tu spoczął. Jednak Stone wcześniej sprawdził, jacy ludzie zostali pochowani przy Mt Zion i wiedział, że ta mogiła, była ostatnim miejscem spoczynku niejakiego Samuela Washingtona – wyswobodzonego niewolnika, który poświęcił swe życie, pomagając innym, podobnym do niego, aby i oni uzyskali wolność. Stone odczuwał pewną więź z tym człowiekiem, ponieważ sam, w pewnym sensie, wiedział, co to znaczy być w niewoli.

Kiedy przyglądał się chacie, zmierzch szybko przeobrażał się w mrok. Wiedział, że mieszkała tam Annabelle Conroy – jej wypożyczony wóz stał zaparkowany przed główną bramą. Kilka miesięcy temu, zamiast niej, w chatce przebywał Stone. Dzisiaj miejsce to wyglądało znacznie lepiej niż za czasu jego pobytu. Niemniej jednak Stone zdawał sobie sprawę, że już nigdy nie będzie mógł mieszkać przy Mt Zion. No, chyba że na wznak, jakieś dwa metry pod ziemią. Dzisiejszego poranka, wraz z dwukrotnym pociągnięciem spustu, stał się najbardziej poszukiwanym człowiekiem w całej Ameryce.

Zastanawiał się, gdzie Annbelle mogła być tej nocy. Miał nadzieję, że gdzieś tam cieszy się życiem, chociaż był również świadom, że wieść o morderstwach dotarła już do każdego i że jego przyjaciele bez trudu wywnioskowali, co się stało. Pragnął, aby nie myśleli o nim źle. W gruncie rzeczy był to główny powód jego nocnej wycieczki.

Nie chciał, aby przyjaciele wyczekiwali go w tym miejscu. Federalni nie byli głupi. W końcu zjawiliby się tutaj. Stone całym sercem pragnął odwdzińczyć się członkom Klubu Wielbłądów za to wszystko, co oni dla niego uczynili. Chodziło mu po głowie, aby po prostu oddać się w ręce policji. Jednak w jego psychikę tak silnie wbudował się instynkt przetrwania, że nie było raczej mowy o wkroczeniu na drogę wiodącą ku własnej egzekucji. Nie chciał pozwolić im wygrać w tak łatwy sposób. Będą musieli się bardziej natrudzić.

List, który miał ze sobą, został starannie napisany. Nie była to spowiedź, ponieważ wtedy jego przyjaciele przeżywaliby jeszcze większy dylemat. Zgoda, Stone wpakował się w błędne koło, klasyczny paragraf 22¹, ale mimo wszystko coś był im winny. Wiedział, że, biorąc pod uwagę życie, jakie wiódł, miał tylko jedno rozwiązanie. Właśnie takie.

Wyciągnął z kieszeni list, owinął nim rękojeść noża, który wyjął z drugiej kieszeni i przytwierdził go sznurkiem. Skrywając się w ciemnościach za rogiem chaty, wycelował i rzucił. Nóż wbił się w kolumnę werandy.

- Do widzenia - powiedział Stone.

Musiał iść odwiedzić jeszcze jedno miejsce.

Chwilę później ponownie prześlizgiwał się pod płotem. Udał się na stację metra Foggy Bottom i wsiadł do pociągu. Po trzydziestominutowym marszu dotarł do kolejnego cmentarza.

Dlaczego towarzystwo umarłych odpowiadało mu bardziej niż towarzystwo żywych? Odpowiedź była względnie prosta. Umarli - co było dla niego wygodne - nigdy nie zadawali pytań.

Pomimo ciemności, bez trudu znalazł grób, którego szukał. Ukląkł, zgarnął liście na bok i spojrzał na nagrobek.

Oto tu spoczywa Milton Farb, członek Klubu Wielbłądów, jedyny nieżyjący. Chociaż brakło go wśród żywych, Milton na zawsze pozostanie częścią tej nieformalnej grupy teoretyków spiskowych, którym zależało tylko na jednym - na prawdzie.

Bardzo niedobrze, że ich lider nie przestrzegał owej zasady.

Stone był jedyną przyczyną śmierci swojego ukochanego przyjaciela.

„Moja wina”.

Z jego powodu wspaniały, mimo że ekscentryczny, Milton, spoczął tu na wieki - nabój dużego kalibru zakończył jego życie pod Kapitołem Stanów Zjednoczonych. Żal, który z tego powodu odczuwał Stone, był prawie równy smutkowi, jaki czuł dziesiątki lat temu po śmierci swej nieszczęsnej żony.

Kiedy przypominał sobie tę ostatnią, okropną noc w Capitol Visitor Center, w jego oczach pojawiły się łzy. Pamiętał, jak Milton spojrzał na niego, gdy trafiła go kula; te szerokie, błagalne, niewinne oczy. Pamięć ostatnich sekund życia przyjaciela pozostanie ze Stone'em do końca jego dni. Poza pomszczeniem Milтона, Stone nie

mógł zrobić nic innego. I tak też się stało. Tamtej nocy - na małym zamkniętym obszarze - zabił wielu uzbrojonych po zęby, znakomicie wyszkolonych ludzi i niewiele z tego zapamiętał, ponieważ ta jedna, niewiarygodna i nieprawdopodobna śmierć przyćmiła całą resztę. Niemniej jednak, to wcale nie zrekompensowało jego straty. Morderstwa dokonane tego poranka również częściowo się z nią wiązały. Ale tak samo jak poprzednie ofiary, te dwie również w żaden sposób nie ukończyły cierpienia Stone'a po śmierci Milтона, żony, czy córki.

Na grobie swojego przyjaciela ostrożnie wyciął kawałek trawy i pozbył się ziemi, a następnie w puste miejsce włożył pudełko, które z powrotem przykrył trawą i mocno przydepnął. Usunął wszelkie dowody wskazujące na to, że ktoś rozkopywał ziemię, po czym stanął wyprostowany i zasalutował zmarłemu koledze.

Parę chwil później Stone był już w drodze powrotnej do stacji metra. Pojechał na Union Station. Tam, wydając prawie całą resztę swoich pieniędzy, kupił bilet kolejowy na południe. W pobliżu kręciło się kilku policjantów w mundurach i w cywilu - Stone w porę ocenił położenie każdego z nich. Nie było wątpliwości co do tego, że ciężka artyleria krzątała się po trzech miejscowych lotniskach i robiła wszystko, co mogła, aby ująć zabójcę popularnego amerykańskiego senatora i szefa wywiadu. Amerykański system kolejowy, podrzędny względem lotniczego, nie został poddany tak drobiazgowej obserwacji, jak gdyby zabójcy nie chcieli jeździć po rozpadających się szynach.

Trzydzieści minut później wskoczył do pociągu Amtrak Crescent, który zmierzał do Nowego Orleanu. Decyzję podjął zupełnie odruchowo, spoglądając na tablice odjazdów. Pociąg opóźniony był o kilka godzin, inaczej nie byłoby możliwości, aby mógł nim pojechać. Chociaż nie był przesądny, uznał to za omen. Zanim udał się na swoje miejsce w przedziale, najpierw wcisnął się do małej toalety, gdzie przystrzygł sobie brodę oraz zdjął okulary.

Słyszał, że w Orleanie wciąż prowadzono wiele prac remontowych po huraganie Katrina. A ludzie, którzy desperacko poszukiwali pracowników, nie wypytywali ich o numer ubezpieczenia czy stałe zameldowanie. Na tym etapie swojego życia, Stone nie lubił ani pytań, ani liczb, które mogłyby sprawić, że zostałby rozpoznany. Plan polegał na tym, aby ukryć się w masie ludzi, starających się odbudować miasto po koszmarze, za który nie ponosili żadnej winy, a który zgotowała im natura. Stone znakomicie ich rozumiał, ponieważ w gruncie rzeczy próbował robić to samo co oni - odbudować swoje życie. Jedynie dwa ostatnie strzały nie pasowały do tego planu. Pragnął ich jednak wszystkimi pulsującymi od gniewu nerwami. Poczucie sprawiedliwości, którego, jak wcześniej myślał, nie nosił w sobie, kazało mu pociągnąć za spust.

Kiedy pociąg, podskakując, pędził naprzód w mrok, Stone siedział na swoim miejscu i patrzył przez okno. W szybie odbijał się wizerunek młodej kobiety, której Stone zaczął się przyglądać. Siedziała ona obok niego i trzymała na kolanach dziecko, jej stopy spoczywały na sponiewieranym marynarskim worku, a poszewka na poduszkę wypchana była czymś, co przypominało butelki, pieluchy i rzeczy na zmianę dla malucha. Oboje spali, pierś dziecka wtuliła się w nabrzmiące piersi matki. Stone odwrócił głowę, aby spojrzeć na dziecko mające potrójny podbródek i pulchne piąstki. Nagle maluch otworzył oczy i popatrzył na niego. Ku jego

zaskoczeniu, dziecko nie zaczęło płakać.

Po drugiej stronie przejścia siedział chudy jak szczapa facet. Zajadał się cheesburgerem kupionym na stacji, a pomiędzy jego kościstymi nogami w połatanych dżinsach, kołysała się butelka Heinekena. Obok niego zajmował miejsce młody, wysoki, dobrze wyglądający mężczyzna. Miał brązowe, zmierzwione włosy i twarz bez zmarszczek, z kilkudniowym zarostem. Odznaczał się szczupłą budową ciała i wykonywał ruchy, niczym były rozgrywający ze szkoły średniej, który jeszcze nie zdążył utyć. Opinia ta nie do końca oparta była na domysłach Stone'a, ponieważ chłopak nosił na sobie kurtkę uniwersytecką, obwieszoną medalami, szkolnymi emblematami i wstążkami. Wyszyty na niej rok podpowiedział Stone'owi, że chłopak skończył szkołę średnią kilka lat temu. Długo wspomina swoje dni chwały – pomyślał Stone – ale może to wszystko, co ma.

Stone'owi wydawało się również, że chłopak wyglądał na takiego, który uważał, że świat był mu winny wszystko, ale nigdy nie kwapił się ze spłacaniem swego długu. Kiedy Stone mu się przyglądał, tamten wstał, minął faceta z cheesburgerem i ruszył w stronę tylnej części wagonu; otworzył drzwi i przeszedł do innego wagonu.

Stone wyciągnął rękę i delikatnie dotknął piąstki dziecka, usłyszał ledwo słyszalne mruknięcie. Podczas gdy ten niemowlak miał całe życie przed sobą, żywot Stone'a powoli dobiegał końca. No, ale najpierw muszą go znaleźć. Wszystko to zawdzięczał władzy, która często była bezduszna w stosunku do ludzi, służących jej z wielką lojalnością, z oddaniem, któremu towarzyszyło ciche cierpienie.

Stone oparł się wygodnie o siedzenie i patrzył, jak Waszyngton zniknął mu sprzed oczu, gdy pociąg, turkoczając, jechał naprzód.

Kiedy zadzwonił telefon, Joe Knox czytał książkę w małej bibliotece w swoim domu, który był położony w północnej części Wirginii. Mówca był bardzo oszczędny w słowach, a Knox, ponieważ miał duże doświadczenie, nie przerywał mu. Odłożył słuchawkę, zamknął książkę, zarzucił na siebie płaszcz przeciwdeszczowy, na nogi wsunął buty, chwycił kluczyki od swego zniszczonego, dziesięcioletniego range rovera i wyszedł na zewnątrz, na paskudną pogodę, aby zająć się równie paskudną sprawą.

Miał metr osiemdziesiąt pięć, był grubawy i muskularny. Pomimo swego przeciętnego wzrostu, w college'u grał jako zawodnik drugiej linii. Knox był facetem po pięćdziesiątce, coraz radsze włosy wciąż przycinał u fryzjera i zaczesywał do tyłu. Jego bladozielone oczy były ludzkim odpowiednikiem rezonansu magnetycznego: nic nie mogło ujść ich uwadze. Chwycił kierownicę samochodu swymi długimi palcami, które w służbie krajowi pociągały za praktycznie każdy spust, jaki był pod ręką. Wyjeżdżając ze swego położonego na uboczu, zalesionego sąsiedztwa w McLean, w Wirginii, skręcił na Chain Bridge Road. Ruch na obwodnicy o tej porannej godzinie wciąż był spory. W zasadzie minęły już czasy, kiedy asfaltowa pętla, wijąca się dookoła stolicy, nie byłaby zakorkowana. Skierował swego dzipa w kierunku Waszyngtonu i stamtąd cofnął się do wschodniego Marylandu. W końcu poczuł w nozdrzach zapach morza i od razu zaczął wyobrażać sobie miejsce zbrodni. Dla niego była to rutyna.

Trzy godziny później kręcił się dookoła trucka, pośród grubych kropli deszczu spadających na ziemię. Carter Gray z rozwaloną głową wciąż siedział w samochodzie zapięty pasami. Jego życie najprawdopodobniej przerwała kula wystrzelona z karabinu dalekiego zasięgu, chociaż sekcja zwłok będzie jeszcze musiała to potwierdzić. Podczas gdy policja, FBI i detektywi sądowi robili dookoła harmider, przypominając muchy plujki, i szukali miejsca, o które mogliby się zahaczyć i zająć swoją robotą, Joe Knox przykucnął obok drogi, patrząc na białą płytę nagrobną i małą amerykańską flagę wbitą tuż przed nią. Miejsce to znajdowało się na zakręcie. Kawalkada samochodów w tym punkcie musiała zwalniać. Zaciekawiony Gray z pewnością zauważył te dwie osobliwe rzeczy i otworzył okno swego samochodu – fatalny błąd.

Płyta nagrobna i amerykańska flaga. Zupełnie jak na cmentarzu wojskowym w Arlington. Interesujący i być może trafny wybór.

Knox uświadomił sobie, że skoro opuszczały się okna, oznacza to, że pojazd nie był opancerzony. Normalnie w tego rodzaju samochodach okna mają grubość książek telefonicznych i nie da się ich otworzyć. Gray popełnił swój drugi błąd.

„Powinieneś być domagać się opancerzonego samochodu, Carter – pomyślał Knox. – Byłeś wystarczająco ważnym człowiekiem”.

Knox wiedział, że nie był to baseball. W biznesie, którym się zajmował, wystarczyły tylko dwa uderzenia, aby kogoś wykończyć.

Knox spojrział w dal, wyobrażając sobie trajektorię śmiertelnego pocisku. Żaden z ochroniarzy nie zauważył zabójcy, a więc strzał musiał zostać oddany z takiej odległości, z której nie dało się zobaczyć błysku kuli wylatującej z lufy, ani usłyszeć huku.

Dziewięćset metrów? Tysiąc trzysta? Do celu wewnątrz samochodu, widocznego jedynie przez otwór sześćdziesiąt na sześćdziesiąt, i to jeszcze po ciemku, i w czasie mżawki. I wpakował mu kulę prosto w głowę.

Jak by na to nie patrzeć, był to znakomity strzał. Szczęście nie wchodzi tutaj w grę. Robota zawodowca.

Kolejny wymowny znak dla Knoxa.

Wstał i skinął głową w kierunku jednego z mundurowych. Knox nosił odznakę zawieszoną na szyi. Kiedy inni ją widzieli i zdawali sobie sprawę z kim był powiązany, traktowali go z szacunkiem i trzymali się od niego z daleka, zupełnie tak, jak gdyby cierpiał na jakąś nieuleczalną i zaraźliwą chorobę.

A może tak właśnie jest.

Gliniarz otworzył drzwi escalada, a wtedy Knox zajrzał do środka. Śmiertelny pocisk uderzył ofiarę w sam środek prawej skroni. Kula nie przeszła na wylot, wciąż tkwiła w mózgu. Wyciągną ją podczas sekcji zwłok. Nie znaczyło to wcale, że Knox potrzebował raportu z autopsji, aby dowiedzieć się, co zabiło tego człowieka. Krew, kawałki ciała oraz czaszki przykleiły się wewnątrz samochodu. Knox wątpił, że ktokolwiek z przedstawicieli rządu będzie korzystał z tego wozu. Prawdopodobnie zrobią z nim to samo, co z limuzyną Kennedy'ego. To był pech, zła karma, można to nazwać, jak się chce, ale żaden VIP nie wsadzi swojego tyłka w fotel, na którym siedział trup, choćby był i sterylizowany.

Gray nie wyglądał na kogoś, kto sobie drzemie, ale na umarlaka. Nikt nie kwapił się, aby zamknąć mu oczy. Okulary, od uderzenia kinetycznym pociskiem, spadły mu z nosa. Wyglądało to tak jakby Gray bezustannie wpatrywał się w każdego, kto na niego patrzył.

Knox uniósł rękę, na którą wcześniej założył rękawiczkę, i zamknął Grayowi powieki. Zrobił to z szacunku. Dobrze znał Graya. Nie zawsze się z nim zgadzał, ani też nie zawsze popierał jego metody działania, ale mimo wszystko szanował go. Knox miał nadzieję, że gdyby to on siedział na jego miejscu, to Gray zrobiłby to samo dla niego.

CIA już zarekwirowało poufne dokumenty, które miał przy sobie Gray. Agencja wywiadowcza uważała, że były one ważniejsze niż prawne procedury i morderstwo ich szefa. Knox wątpił, by cokolwiek, co przed śmiercią czytał szef CIA, wiązało się w jakiś sposób z morderstwem, no ale wszystko było możliwe.

Gdyby tylko potrafili odczytać jego myśli z ostatnich chwil życia, kiedy spoglądał na nagrobek i flagę...

Przecucie podpowiadało Knoxowi, że Gray doskonale wiedział, kto go zabił. Może ci z Agencji też o tym wiedzieli. Jeżeli tak, to pozwalali mu zachowywać pozory. Przez chwilę zastanawiał się dlaczego. Niełatwo jest wywnioskować, co u diabła działo się za zamkniętymi drzwiami w Langley. Jedyna rzecz, którą można by

uznać za prawdę, była w rzeczywistości tak zagmatwana jak wszystko, co można znaleźć w popularnej fikcji literackiej.

Oddalił się od ciała i, wpatrując się w Atlantycką, rozmyślał nad faktami.

Gray ledwo uszedł z życiem, kiedy jego dom, ponad pół roku temu, został wysadzony w powietrze. Kiedy Knox udawał się na miejsce zbrodni, został poinformowany przez bezpieczną linię telefoniczną, że wszyscy podejrzani w tamtej sprawie mieli nie być brani pod uwagę w sprawie morderstwa Graya. Owa dyrektywa pochodziła z najwyższych szczebli i nie mógł nic zrobić, jak tylko się do niej zastosować. Niemniej jednak, zanotował sobie ten fakt w pamięci. Według niego prawda nie powinna być zmieniana w żaden sposób, ani zależna od sytuacji. Choćby tylko dlatego postanowił, że jeżeli będzie trzeba, to w odpowiedniej chwili użyje jej przeciwko swemu pracodawcy jako amunicji, aby ochronić własny tyłek.

Knox pojechał do domu Graya. Szybko rozejrzał się w środku, a ponieważ nie znalazł tam nic ciekawego, wyszedł na zewnątrz, kierując się w stronę klifu położonego z tyłu posiadłości. Najpierw spojrział w dół, na smaganą wiatrem wodę w zatoce, a potem wychylił się i rzucił okiem na w pełni uformowany front sztormowy, który wcale nie ułatwiał dochodzenia w sprawie dokonanego nieopodal zabójstwa. Przyglądał się drzewom rosnącym na skraju lasu i ciągnącym się wzdłuż prawej strony budynku. Poszedł tam i zaczął przechadzać się między nimi. Szybko odkrył, że znajdująca się tam ścieżka prowadzi do żwirowej drogi, którą przejeżdżała kawalkada samochodów wraz z Grayem.

Obejrzał się za siebie i popatrzył na klif.

Zastanawiał się, czy to możliwe.

Jeżeli był to właściwy człowiek, to odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna: „Tak”.

Wskoczył z powrotem do swojego rovera i ruszył na miejsce drugiej zbrodni.

Roger Simpson.

Wielki stan Alabama miał nagle o jednego senatora mniej.

Nie znając jeszcze okoliczności śmierci Simpsona, Knox instynktownie wiedział, że szukał jednego mordercy.

Tylko jednego.

Jak tylko Annabelle weszła na werandę, od razu to zauważyła, Alex Ford również. Dopiero co wrócili z kolacji, którą zjedli w restauracji Nathan's, mieszczącej się w Georgetown. Było to ich ulubione miejsce spotkań.

Wyciągnęła wbity nóż, odwinęła list i rozejrzała się dookoła, jak gdyby spodziewała się, że osoba, która go zostawiła, wciąż była w pobliżu.

Czytając list, podeszła wraz z Alexem do pustego kominka. Oboje usiedli przed nim. Skończyła czytać i podała kartkę Alexowi. Czekala w milczeniu, aż przeczyta.

- Pisze, że powinnaś się spakować i wyjechać. Przyjdą ludzie, którzy będą zadawać pytania - powiedział Alex. - Możesz zatrzymać się u mnie, jeżeli chcesz.

- Chyba wiedzieliśmy, że to on, prawda? - zapytała.

Alex spojrzał na list. „Żałuję w życiu wielu rzeczy”, przeczytał. „I z tym wszystkim przyszło mi żyć. Jednak śmierć Milotna była wyłącznie moją winą. Zrobiłem, co zrobić musiałem, aby ukarać tych, którzy powinni być ukarani. Ale nigdy nie będę w stanie sam sobie wymierzyć odpowiedniej kary. John Carr w końcu umarł. Krzyżyk na drogę”. Alex podniósł głowę.

- Pisze jak człowiek, który wierzy, że to co zrobił, trzeba było zrobić - powiedział.

- Poprosił nas, abyśmy poinformowali Reubena i Caleba.

- Zrobię to.

- Wiesz, że zasłużyli sobie na to, biorąc pod uwagę wszystko to, co powiedział nam Finn o wydarzeniach z tamtej nocy.

- Nic nie daje prawa do mordowania innych, Annabelle - powiedział stanowczo Alex. - To wigilantyzm, to jest złe.

- Zawsze?

- Jeden wyjątek pogrzebie tę regułę na wieki.

- To ty tak mówisz.

- Spal ten list, Annabelle - gwałtownie powiedział Alex.

- Co?

- Spal natychmiast, zanim zmienię zdanie.

- Dlaczego?

- To nie jest przyznanie się do winy, ale mimo wszystko dowód. Sam nie wierzę, że to mówię. Spal. Natychmiast! - nalegał Alex.

Wzięła zapałkę, podpaliła papier i wrzuciła do kominka. Patrzyli, jak kartka skręcała się i czerniała.

- Oliver nieraz ocalił moje życie - powiedział. - Był najporządniejszym i najsolidniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

- Szkoda, że nie został, aby z nami porozmawiać - odezwała się Annabelle.

- Dobrze, że tak nie zrobił.

- Dlaczego? - zapytała szorstko Annabelle.

- Bo pewnie bym go aresztował.

- Żartujesz. Właśnie dopiero co powiedziałeś, że był najporządniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałeś.

- Jestem przedstawicielem prawa, Annabelle. Złożyłem przysięgę i nieważne, czy to przyjaciel, czy nie.

- Ale wiedziałeś, że wcześniej już kogoś zabił i wtedy jakoś nie było to dla ciebie problemem.

- Zgadza się, ale wtedy robił to na rozkaz rządu Stanów Zjednoczonych.

- I to, według ciebie, było w porządku? Bo jakiś polityk powiedział, że tak jest dobrze?

- Oliver był żołnierzem. Uczono go słuchać rozkazów.

- Ale nawet on czuł się winny, ponieważ niektórzy, których kazano mu zabić, byli niewinni. Czy widziałeś, jak go to przybiło?

- Szanuję jego zasady moralne, ale tych zabójstw nikt mu nie zlecał.

Annabelle wstała i spojrzała na niego z góry.

- A więc teraz, kiedy zabił dwóch ludzi, którzy sobie na to zasłużyli, tyle że nie dostał na to upoważnienia rządu, nagle jesteś gotów go aresztować? - spytała sarkastycznie.

- To nie takie proste, Annabelle.

- Właśnie, że tak - odburknęła, odsuwając długie włosy, które spadły jej na twarz.

- Słuchaj...

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Zakończmy to, zanim powiemy sobie coś, czego będziemy żałować, a przynajmniej ja będę. Zresztą, muszę się spakować.

- Dokąd pójdziesz?

- Dam ci znać - odpowiedziała tonem, który wskazywał, że raczej nie mówiła szczerze.

Alex zaczął coś mówić, ale po chwili zamilkł, wstał i wyszedł na zewnątrz. Jego twarz spochmurniała, a usta mocno się zacisnęły. Wyglądał na nieugiętego.

Annabelle zatrzasnęła za nim drzwi. Ze skrzyżowanymi nogami usiadła naprzeciw kominka i zaczęła przyglądać się poczerniałym kawałkom papieru z ostatnią wiadomością, którą wysłał do nich Stone. Kiedy zaczęła przypominać sobie treść listu, po policzkach pociekły jej łzy.

Spojrzała w kierunku drzwi. W ciągu kilku ostatnich miesięcy ona i Alex stali się sobie bardzo bliscy. Gdy usłyszeli o zabójstwie Graya i Simpsona, od razu zaczęli domyślać się prawdy. Jednak nic nie mówili o swoich przecuciach. Chyba bali się przyznać, że wierzą, że Stone zabił tych dwóch facetów, ponieważ wtedy fakt ten stałby się dla nich niewygodną prawdą. Teraz ich dwie różne interpretacje czynów i motywów Stone'a sprawiły, że wyrósł między nimi mur.

Annabelle spakowała kilka swoich rzeczy, zamknęła chatę na klucz, myśląc, że jest tu po raz ostatni, wsiadła do samochodu i pojechała do pobliskiego hotelu. Kiedy położyła się do łóżka, pomyślała, że nic dłużej jej tutaj nie trzymało. Olivera nie było, jej ojciec nie żył, Alex okazał się być kimś innym, niż wcześniej sądziła - po raz kolejny została sama.

Można by powiedzieć, że był to jej naturalny stan.

Powodzenia, Oliverze Stone.

Annabelle była na sto procent pewna jednej rzeczy - będzie on potrzebował naprawdę dużo szczęścia.

Może oni wszyscy będą go potrzebowali.

Joe Knox zdecydowanie bardziej wolałby teraz być na powrót we własnym domu, popijać piwo, a może nawet wlać sobie do kieliszka whisky Glenlivet, a potem usiąść przed ciepłym kominkiem i dokończyć czytanie ulubionej powieści. Był jednak gdzie indziej. Krzesło było niewygodne, pokój zimny i źle oświetlony, a czekanie nieprzyjemne. Wpatrywał się w ścianę naprzeciw, ale myślami był daleko stąd.

Prześledzenie miejsca zbrodni Rogera Simpsona nie zajęło mu dużo czasu. Zupełnie tak, jak jego dawnego szefa z CIA, Simpsona również śmierć zastała siedzącego, tyle że ten pierwszy siedział w samochodzie, a ten tutaj na krześle z oparciem, w kuchni, która została splamiona jego krwią. Strzał padł z miejsca niedokończonej części budowy, znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Godzina egzekucji była wczesna. A o to, według Knoxa, chodziło zabójcy - świadków jak na lekarstwo.

Jedyną interesującą rzeczą w tym wszystkim była gazeta. Do Simpsona strzelono przez poranne wydanie czcigodnego Washington Post, a kula utkwiała w klatce ofiary. Większość snajperów celuje w głowę, tak jak było to w przypadku Graya - to standard i najpewniejszy sposób wyeliminowania ofiary. Jasne, że jeżeli dysponujesz odpowiednim działem, to uderzenie w tułów również załatwi sprawę. Jednak strzał w głowę, w świecie zawodowych zabójców, jest niczym wierny pies, który nigdy cię nie zawiedzie.

A więc Gray w głowę, a Simpson w klatkę. Dlaczego?

I dlaczego przez gazetę?

Knox był wyraźnie zakłopotany. Nie chodziło o to, że przebicie się pociskiem przez kilka kartek spaprałoby strzał, ale że strzelający nie miałby pewności, gdzie mniej więcej uderzy wypuszczona przez niego kula. Co by było, gdyby Simpson, zamiast gazety, trzymał na piersi grubą książkę albo miał zapalniczkę w kieszonce ubrania, którą zakrywałaby gazeta? Przez to strzał mógłby nie wyjść najlepiej. Większość snajperów, których znał Knox, przed akcją planowała wszystko z wielką dokładnością.

Jednak kiedy przyjrzał się uważnie gazetce, zrozumiał dlaczego zabójca celował w klatkę. Czyjaś fotografia została przyklejona taśmą do jednej ze stron. Strzał oderwał głowę osoby ze zdjęcia. Kiedy Knox dokładniej przyjrzał się fotografii, zauważył, że tułów należał do kobiety. Nie było jednak żadnych znaków ani napisów, które pomogłyby mu odszyfrować, kim była kobieta. Porozmawiał z dostawcą gazet, ponieważ był ciekaw, czy tamten zauważył coś podejrzanego. Okazało się, że nie. Budynek, w którym mieszkał Simpson, nie miał też odźwiernego, jednak Knox był pewien, że to zabójca umieścił zdjęcie w gazetce.

To mogło oznaczać tylko jedno. Strzał był związany z jakąś sprawą osobistą. A zabójca chciał, aby Simpson wiedział dokładnie, za co zginie i kto go sprzątnie. To

samo tyczy się sprawy Graya – na miejscu tamtej zbrodni znajdował się nagrobek i flaga. Chociaż niechętnie, obdarzał zabójcę coraz większym podziwem. Pokierowanie pociskiem w taki sposób, aby przebił zdjęcie, wymagało niezwykłych umiejętności, dobrego planu i poczucia pewności siebie, którego nie posiadali nawet najlepsi strzelcy wyborowi.

Lekarzowi sądowemu powiedział, aby poinformował go, jeżeli w ranie znajdzie coś, co będzie warte uwagi. Oczywiście, było to praktycznie niemożliwe, aby zrekonstruować spalone kawałki zdjęcia, które na skutek uderzenia kuli z karabinu przykleiły się do jamy klatki piersiowej senatora. Chociaż wszystko jest możliwe. Knox z doświadczenia wiedział, że najczęściej jakieś małe gówno potrafi przygwoździć kryminalistę.

Gdy usłyszał dochodzące w jego kierunku odgłosy kroków, które niczym deszcz stuknęły w posadzkę wąskiego korytarza, wyprostował się i przestał myśleć o tych wszystkich wystrzałach i martwych ludziach. W jego stronę zbliżali się dwaj mężczyźni z ponurym wyrazem twarzy, ubrani w garnitury. Jeden z nich niósł coś, co wyglądało jak duża skrzynka depozytowa. Kiedy położył ją na stole, rozległ się głośny brzdęk, który nadał całej tej sytuacji jeszcze większej powagi, chociaż – pomyślał Knox – powaga i tak była już wystarczająca.

Ten starszy był bardzo wysoki i szeroki w barach, a czubek jego głowy zwieńczały siwe włosy. Wyglądał na zniszczonego i zmarnowanego, a wszystko to zawdzięczał wielu kryzysom, przez które musiał przejść w ciągu ostatnich dekad. Świadczyła o tym każda zmarszczka na jego twarzy, kuśtykanie i okrągłe plecy. Nazywał się Macklin Hayes, były trzygwiazdkowy generał, który zaciągnął się do wywiadu dawno temu, chociaż – jak rozumował Knox – jego związki z wywiadem wojskowym wciąż były mocne. Nigdy nie słyszał, aby ktokolwiek kiedykolwiek zwracał się do niego Mack. Po prostu nikt nie brał pod uwagę takiej możliwości.

– Knox. Dzięki, że przyszedłeś. – Hayes skinął głową w jego kierunku.

– Chyba nie miałem wyboru, prawda, generale?

– Czy któryś z nas go miał?

Knox czekał w milczeniu, decydując się nie odpowiadać na to pytanie.

– Zdajesz sobie sprawę z zaistniałej sytuacji? – zapytał Hayes.

– Tyle na ile się da, biorąc pod uwagę, że od niedawna tropię tego dupka.

– Całej reszty dowiesz się z tego, co jest w środku. – Hayes poklepał ręką pokrywę skrzynki, którą przyniósł. – Zapoznaj się z tym, przyjmij do wiadomości i zapamiętaj. Kiedy będzie już po wszystkim, wymażesz to ze swojej pamięci.

Zrozumiano?

– Tę część zawsze świetnie rozumiem – odpowiedział Knox i wolno skinął głową.

– Jakież wstępne wnioski? – zapytał młodszy mężczyzna.

Knox nie znał tego dżentelmena i zastanawiał się, co on w ogóle tutaj robi. Być może miał jedynie pomagać Hayesowi nieść jego tajemniczą skrzyneczkę. Niemniej zadał pytanie i oczekiwał odpowiedzi.

– Dwie egzekucje wykonane przez snajpera, który znał się na swojej robocie. Prawdopodobnie to były wojskowy, który żywił jakąś urazę i chciał, aby zarówno Gray, jak i Simpson, wiedzieli o tym. Grayowi postawił płytę nagrobną z flagą, a Simpsonowi przykleił w gazecie zdjęcie kobiety. Najpierw zastrzelił senatora, a

potem przybył do Marylandu, aby wykończyć Graya. Prawdopodobnie zrobił to, zanim rozeszła się wieść o morderstwie Simpsona i zanim zdołano ostrzec Graya.

- Jest pan pewien, że zabójców nie było dwóch? - zapytał ten młodszy. - Jest pan również przekonany o kolejności dokonanych zabójstw?

- Na tym etapie niczego nie mogę być pewien. Zapytał mnie pan o wstępne wnioski, to powiedziałem - odparł Knox.

- A jak uciekł? Nie mógł zbiec żadną z dróg, bo zostałby zauważony.

Knox zanim odpowiedział, przez chwilę się zawahał:

- Skoczył z klifu.

- Najwyraźniej nie jesteś jedyną osobą, która to sugeruje - powiedział otwarcie Hayes.

- A kto był pierwszy? - zapytał ciekawie Knox.

- Zapoznaj się z aktami - rzucił w odpowiedzi Hayes.

Ciśnienie mu podskoczyło, ale mimo wszystko trzymał język za zębami.

- Czy Gray na kilka dni przed swoją śmiercią wspominał o czymś? - spytał Knox.

- Na jakieś sześć miesięcy przed jego zabójstwem był w coś zaangażowany. Jednak było to na tyle poufne, że nawet ja nie dowiedziałem się wszystkiego. Gray, jak sam dobrze wiesz, był facetem, który utrzymywał wiele rzeczy w tajemnicy. Co więcej, pracował wtedy w sektorze prywatnym, a to również ogranicza naszą wiedzę. Mówiąc delikatnie, sprawa jest zagmatwana.

Knox kiwnął głową. Gray i poufność naturalnie szły ze sobą w parze.

- Czy ma to jakiś związek z typowymi podejrzanymi, którzy odgórną decyzją nie są teraz brani pod uwagę? Muszę przyznać, że jest to dla mnie trochę dziwne.

- Nie wszyscy z nas zgadzają się z tą decyzją - odezwał się młodszy.

Knox spojrzał najpierw na jednego, a potem na drugiego.

- A więc, co to dokładnie oznacza? Czy są oni dla nas dostępni, czy nie?

Mimo uśmiechu, z wyrazu twarzy Hayesa nie dało się nic odczytać. Facet zbiłby w Vegas fortunę na żetonach i kartach, pomyślał Knox.

- Trudno powiedzieć - odezwał się Hayes. - Jak napomknął mój współpracownik na korytarzach władzy opinie co do tego są podzielone.

- Co mam teraz zrobić?

- Stąpać ostrożnie, Knox. Stąpać cholernie ostrożnie. - Poklepał dłoń w skrzynkę. - Udało mi się zgromadzić trochę materiałów, które znajdują się w środku, włączając w to kilka prywatnych rzeczy.

- Chodzi panu o to, że jest tam coś, w co nie powinienem być wtajemniczany? - spytał Knox.

W tej chwili Knox jeszcze bardziej zaczął tęsknić za swoją książką i przytulnym domem.

- Przypuśćmy, że tak - przytaknął generał.

- Nie mam zamiaru z tego powodu dostać kulki w tył głowy - powiedział Knox.

- Dodam, że ja również nie mam takiego zamiaru - odparł Knox.

- Nie cieszy mnie to zbyt, proszę pana - odezwał się ponownie Knox. - Jeżeli pan się pilnuje, to ja chyba jestem już martwy.

- Chcę, abyś przeczytał to wszystko, pojechał do domu i pomyślał. Potem zadzwoń do mnie.

- Z pytaniami czy odpowiedziami? - spytał Knox.

- Mam nadzieję, że z jednym i z drugim - odparł generał.

- Faceta prawdopodobnie już dawno tutaj nie ma. Prawdziwi zawodowcy uciekają tak samo dobrze i szybko, jak zabijają.

Hayes leciutko postukał w blat stołu swymi długimi, kościstymi palcami, które wydały się Knoxowi miniaturowymi meduzami.

- Być może - odrzekł.

- Posłuchajcie - odezwał się znów Knox - mogę kręcić się w miejscu i nie dojść do niczego. Proszę powiedzieć mi, jakich reguł powinienem przestrzegać w tym śledztwie, generale. Zbyt długo się w to bawię, aby dać zbywać się jak nowicjusz.

Hayes i jego towarzysz - mistrz i marionetka - wstali z miejsc.

- Czytaj, myśl i dzwoń. Dobranoc, Knox. Powodzenia!

Knox przyglądał się im, aż zniknęli na końcu korytarza; lotniskowiec i jego wierny niszczyciel dysząc, brnęli przez smagane sztormem morze amerykańskiego wywiadu.

Otworzył skrzynkę, wyciągnął z niej dokumenty i zaczął czytać.

Powodzenia kobra pożyczyla, zanim uderzyła.

Był to dokładnie jeden z tych dni, kiedy Knox żałował, że nie poszedł w ślady ojca i nie został hydraulikiem.

Krótką drzemka Stone'a została nagle przerwana przez hałas, który przypominał bójkę. Mrużąc zaspane oczy, rozejrzał się dookoła. Kobieta siedząca obok niego próbowała uspokoić płaczące dziecko. Szukając przyczyny rabanu, Stone rzucił okiem przez rzędy siedzeń.

Wyglądało na to, że było trzech na jednego. Wszyscy mieli po dwadzieścia kilka lat, a jest to okres, kiedy zawory bezpieczeństwa często nie wytrzymują napływu testosteronu. Dwóch przytrzymało gościa, a trzeci w niego walił. Niektórzy pasażerowie bez przekonania nakłaniali ich, aby przestali, ale tak naprawdę nikt nie ruszył się z miejsca, aby cokolwiek z tym zrobić. Stone popatrzył, czy gdzieś w pobliżu nie było widać konduktora, ale nie zauważył nikogo w mundurze.

Bity dzieciak był tym samym, którego Stone widział wcześniej - dawny rozgrywający ze szkoły średniej, który miał wielki żal do świata. Jego urocza buźka otrzymywała kolejny prawy prosty w lewy, napuchnięty policzek. Krew ciekła mu z nosa, a on cały czas próbował się uwolnić. Kopał, pluł i rzucał się, jednak nie potrafił się wyrwać dwóm napastnikom; w tym czasie ten trzeci, śmiejąc się, kopał go w bebechy tak, że Pan Rozgrywający aż zginał się wpół.

Dobra, starczy.

Stone zerwał się z siedzenia i kiedy uderzający brał rozmach, aby zadać kolejny cios, on złapał jego pięść i pociągnął tak mocno, że napastnik prawie się przewrócił. Gwałtownie odwrócił się i spojrzał na Stone'a - jego gniew przeszedł w rozbawienie.

Dzieciak miał przynajmniej dwanaście centymetrów mniej niż Stone, liczący metr osiemdziesiąt siedem, jednak był czterdzieści lat młodszy i ponad dwadzieścia kilogramów cięższy.

- Chcesz oberwać, staruszkę? - zadrwił z niego dzieciak, unosząc pięści do góry.
- Chcesz? - Tańczył i pozorował atak, jego brzuch kołysał się, a mięsiste ręce, na których pobrzękiwały świecidełka, latały dookoła.

Aby powstrzymać się od śmiechu, Stone mógł zrobić tylko jedno.

- Daj mu spokój i będzie po sprawie - zaproponował.
- Oszukiwał w karty! - krzyknął inny gówniarz, łapiąc Rozgrywającego za włosy i ciągnąc gwałtownie jego głowę do góry. - Oszukiwał w pokera.
- Myślę, że dostał już twardą lekcję - powiedział Stone. - Możecie go teraz puścić.

- Komu ty rozkazujesz? - powiedział ten krzepki z uniesionymi pięściami.
- Zakończmy to, chłopaki - pokojowo nalegał Stone. - Zrobiliście swoje. Jest już nieźle potłuczony.
- Tak, ale ty nie jesteś.
- Chcę pokojowo rozwiązać tę sytuację. - Stone popatrzył na pasażerów, z

których większość była w podeszłym wieku. – Nieźle wszystkich wystraszyliście.

– Myślisz, że cokolwiek nas to obchodzi? – zwrócił się do Stone'a osilek.

– Teraz, staruszkule, jeżeli wiesz co dla ciebie dobre, przeprosisz, że zawracasz nam tyłek, odwrócisz się i pójdziesz na swoje miejsce. A jeżeli nie, to tobie też skopię dupę. Cholera, w sumie, chyba to zrobię, bo mam ochotę. Co o tym myślisz?

To był długi dzień dla Stone'a i zaczął się już wkurzać, że nawet dziesięć minut nie dali mu się zdrzemnąć.

– Sam dasz radę? – zapytał chłopaka. – Czy może ci dwaj wspomogą cię?

Dzieciak uśmiechnął się.

– Tylko ja, dziadziusiu. Ale coś ci powiem, żeby nie trwało to zbyt krótko, będę cię lał tylko jedną ręką.

Wykonał niewielki cios, a Stone, odchylając głowę na bok, uniknął uderzenia.

– O rany, patrzcie, ten palant potrafi tańczyć. Dobrze tańczysz, palancie?

Dzieciak nagle machnął nogą, próbując kopnąć Stone'a, ale ten ją złapał i mocno trzymał.

Od skakania na jednej nodze twarz grubasa zaczerwieniła się.

– Puść mnie, albo naprawdę zrobię ci coś złego. Puszczaj!

– Masz jeszcze jedną szansę – powiedział Stone.

Dzieciak machnął pięścią, ale chybił.

Natomiast łokieć Stone'a nie – trafił go w bok głowy. Również celne okazało się uderzenie w nos chłopaka, który został złamany. Gnojek zwałił się na podłogę, jęcząc i trzęsąc się.

Dwaj pozostali puścili Rozgrywającego i ruszyli na Stone'a. Jeden, kiedy noga Stone'a uderzyła w jego krocze, a potem zderzyła się z jego głową, padł niczym rozłupany toporem. Drugi, zanim się zorientował, oberwał pięścią w brzuch, a po chwili ta sama pięść wystrzeliła i zmiażdżyła mu podbródek. Tak samo, jak jego koledzy, ten również skończył na podłodze wagonu, trzymając się za brzuch i głowę.

– Co się tu u diabła dzieje?

Stone obrócił się i zobaczył pulchnego konduktora pędzącego wzdłuż przejścia. W ręce trzymał krótkofalówkę i przyrząd do dziurkowania biletów, a na jego głowie podskakiwała czapeczka z napisem Amtrak.

Nim Stone zdążył coś powiedzieć, jeden z gówniarzy, którego rozłożył ciosem, krzyknął:

– On nas zaatakował.

Inni pasażerowie natychmiast zaczęli się odzywać, opowiadając swoją wersję wydarzeń, ale wszystkie fakty zostały nieco poprzekręcane.

Zaniepokojony konduktor pociągu spojrział na pobitych chłopców, leżących na podłodze, a potem zwrócił się do Stone'a.

– Tylko pan stoi na nogach. Czy pan ich pobił? – zapytał.

– Po tym jak mnie zaatakowali. Powiedzieli, że przyłapali tamtego, jak oszukiwał podczas gry w karty – odparł Stone, wskazując na chłopaka od „dni chwały”, który siedział na podłodze i trzymał się za krwawiący nos. – Nie chcieli przestać go lać, a potem rzucili się na mnie – powiedział, wskazując na zabałaganioną podłogę. – Widzi pan, że raczej nie wyszło im tak, jak tego chcieli.

- W porządku, proszę pokazać mi jakiś dowód - powiedział konduktor.

- A co z ich dowodami? Ja jestem tylko dobrym Samarytaninem. Niech pan spyta kogokolwiek z tutaj obecnych.

- Może i tak jest. Ale chcę zacząć od pana, a potem przejdę do nich. Pasuje?

Stone nie chciał pokazywać mu swojego dowodu, ponieważ zdawał sobie sprawę, że trafi to do oficjalnego protokołu, z czego tropiący go agenci - jeżeli do niego dotrą - mogą potem zrobić użytek. Zresztą dowód, który posiadał był fałszywy i na nic by się nie przydał, gdyby chcieli sprawdzić go w bazie danych.

- Nie lepiej zacząć i skończyć na nich, a ja tymczasem wrócę na swoje miejsce? Mówiąc szczerze, z tym, co oni robili, nie miałem nic wspólnego.

- Albo pokaże mi pan jakiś dowód, albo przez radio zawiadomię gliniarzy, którzy będą czekać na pana na następnym przystanku.

Wskazując na dzieciaków, dodał:

- Wy to samo!

Rozgrywający wydał pomruk niezadowolenia i wypluł z ust krew.

- On natychmiast potrzebuje lekarza - szybko odezwał się Stone.

Ukląkł obok młodzieńca, kładąc na jego ramieniu swoją rękę, którą tamten zaraz odepchnął.

- Nie potrzebuję zaszranego pomocy od takich jak ty!

Stone stanął na nogi i zwrócił się do konduktora, mówiąc:

- Myślę, że musimy wezwać lekarza.

- Jeżeli chłopak wyrazi taką potrzebę, zrobimy to, ale ja wciąż czekam na pański dowód - upierał się pracownik Amtraka.

Gość chyba nie zamierzał dać za wygraną.

- Na następnym przystanku wysiadam z tego cholernego pociągu - odparł Rozgrywający, podnosząc się na swoich chwiejnych nogach.

- W porządku. Jeżeli o mnie chodzi to wszyscy możecie wysiąść - odpowiedział konduktor.

- Jaki jest następny przystanek? - zapytał Stone.

- A pan albo pokaże mi swój dowód, albo wzywam policję - odpowiedział na pytanie konduktor.

Stone przez chwilę pomyślał.

- A może ja też wysiądę na następnym przystanku? - odezwał się w końcu.

- Mnie to pasuje - odparł konduktor, uważnie mu się przyglądając.

Stone'owi nie spodobał się wyraz jego twarzy, ponieważ był pełen podejrzliwości.

- A wy wracać na swoje cholerne miejsca. I lepiej żebyście na nich zostali, bo inaczej pójdziecie do paki. Wcale nie żartuję - powiedział konduktor do gnojków, wciąż leżących na podłodze.

Krzepki chłopak, któremu Stone przywalił najpierw zwrócił się do konduktora.

- A co, jeżeli będę chciał wnieść oskarżenie przeciwko tamtemu sukinsynowi? - mówiąc to, wskazywał na Stone'a.

- Nie ma sprawy, ale potem tamten gość - konduktor wskazał na Rozgrywającego - wniesie oskarżenie przeciwko tobie. A ten mężczyzna - dodał zwracając się w stronę Stone'a - może wnieść oskarżenie przeciwko tobie i twoim kolegom, ponieważ z tego, co mówią pasażerowie, rozumiem, że ty zaatakowałeś go

pierwszy. A więc, jak będzie, panie Zakrwawiony Nos?

Policzki krępego chłopaczka zadrżały.

- Pieprzyć to. Nie ma o czym gadać - wydusił.

- To chyba najmądrzejsza rzecz, jaką do tej pory powiedziałeś. A następnym razem, kiedy będziesz miał ochotę wdawać się w bójkę, pamiętaj, aby nie robić tego w moim pociągu. Lepiej, żebyś nie narażał się firmie Amtrak, synku.

Konduktor odwrócił się i dumnie odmaszerował.

Stone wrócił na swoje miejsce, a w środku aż się w nim gotowało. Po cholere się w to wdawał? W ten sposób zmarnował swoją podróż.

Kobieta siedząca obok niego pochyliła się do przodu.

- Był pan bardzo odważny. Gdzie się pan nauczył tak walczyć? - zapytała.

- Byłem harcerzem - odpowiedział roztargniony Stone.

- Harcerzem? Żartuje pan? - zapytała, patrząc się na niego szeroko otwartymi oczami.

- Za moich czasów harcerze byli znacznie twardsi, proszę pani.

Niepewnie uśmiechnął się do niej, a ona się roześmiała.

- To było dobre - odrzekła.

Wtedy uśmiech znikł z twarzy Stone'a.

Niezupełnie, bo mam teraz przechłapanie.

[\[1\]](#) Paragraf 22 - sytuacja bez wyjścia. Nazwa pochodzi od tytułu powieści Josepha Hellera.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).